

Kronika tygodniowa.

Drukarze galicyjscy zacierają ręce z radości. Zaczyna się utrwalać mniemanie, że ich to tajnych zabiegów dziełem jest ustawa o powszechnym głosowaniu. Nikt bowiem nie wyciągnie z niej takich jak oni korzyści. Pomijając tysiące plakatów, zwołujące już dziś zgromadzenia i setki tysięcy plakatów, które w uroczym miesiącu maju będą głosiły tak cnoty i zasługi kandydatów, jak i konieczność zbawienia ojczyzny na kilkanaście odmiennych i wręcz przeciwnych sobie sposobów, pomijając to-mowe spisy wyborców, miliony zaproszeń i miliardów odezw — co wszystko naturalnie przyczynia się do zubożenia oficyn drukarskich — powstają jeszcze jak grzyby po deszczu, nowe pisma, reprezentujące tak stare, jak i świeżo-narodowe zasady i zasady, kierunki i kierunczki. Dość powiedzieć, że każdy prawie kandydat żydowski posiada własny tygodnik, na czas wyborów założony.

Najzabawniejszym w tej hiperprodukcji „głosów opinii“ jest to, że naczelnicy obu dominujących na pozór stronnictw w Krakowie pozostali nagle bez własnych organów, a raczej posiadają na spółkę połowę jednego organu. Stało się to wskutek owego związku ślubnego, zawartego między sztabem demokracji a sztabem konserwatyzmu, o którym to związku wspominałem przy końcu zeszłotygodniowej kroniki. Tak oblubieniec, jak oblubienica, wstępując na kobierzec ślubny, zapomnieli prosić o pozwolenie swych mandataryuszów — sztabu połączyć się, ale armie nie ześzły dotychczas ze swych stanowisk. Co więcej, organ konserwatywny wymówił posłuszeństwo byłemu swemu sztabowi, który musi swe odezwy, enuncjacje i przekonania reprodukowac w organie urzędowym skoncentrowanej demokracji.

Ale i ten organ jest w niemałym kłopotcie: chciałby dochować wierności dawnym przyjaciółom, przeciwnikom solidarności Koła polskiego, to jest ludowcom i postępowym demokratom, tak polskim, jak żydowskim, a z drugiej strony nie może obrócić się tyłem do nowych oblubieńców, uznających solidarność Koła za „conditio sine qua non“. Stało się jednym słowem u nas to, co jako anegdotkę podawały niedawno wszystkie nasze dzienniki, bo nie było chyba pisma, któreby nie doniosło, że w Bawarii czy też w Szwajcarii, bo dobrze nie pamiętam, wychodzi w jakimś małym miasteczku dzienniczek, którego pierwsza połowa jest organem stronnictwa liberalnego, a druga połowa służy stronnictwu konserwatywnemu.

Takie to polityka wyprawia dziwy. Nieprawdopodobieństwa stają się rzeczywistością. Niedawno np. cieszyliśmy się, że w tak zwanych „krajach zabranych“ powstało polskie dziennikarstwo. Czyby kto był przypuszczał, że wśród tego dziennikarstwa pojawi się organ, któryby uragał patriotyzmowi i narodowi? A jednak taki istnieje. „Kresy“ kijowskie podają ustępy z wychodzącego w Kijowie tygodnika pod tyt. „Świt“, na dowód, że drukują się takie brednie, iż „najdrobniejsza zdoła wywołać rumieniec wstydu nawet na obliczu notorycznego waryata“. Oto kilka zdań z VI-go n-rn „Świtu“: „Kochać naród, to jest snuć jak pajak z siebie przedzę nienawiści“; — „Gdy kto powie słowo: Polak, to rzeknie: odwróć się prędko i zasłoń twarz, bo słowo to jak policzek piec cię będzie“; „Polskość stała się hańbą i przekleństwem...“

Prawda: jakie to piękne, rozumne i uczciwe? Czytając takie ludzkie głosy, wynikłe z walki stronnictw, mimowoli czuje się zwiększoną sympatię do świata zwierzęcego.

A ciekawe nowiny z tego świata przynosi prof. Johnson, Amerykanin, który od kilku lat studjuje... mowę małp.

Przed trzema, czterema laty obiegły całą prasę wieści o tych studiach prof. Johnsona. Pisano, że wybudował sobie małpiarnię, małpią menażeryę, w Groobzel i bada język małpi. Ale ucichły dalsze wieści o studiach prof. Johnsona i dopiero teraz podaje prasa dalsze szczegóły jego naukowej pracy. Początkowo rezultaty były małe, gdyż małpy okazały się bardzo powściągliwe w języku wobec swojego niespodzewanego przyjaciela: musiał je podsłuchiwać, co nie przynosiło wiele korzyści. W ostatnich czasach jednak udało się Johnsonowi wzbudzić dla siebie zaufanie. Pewien sędziwy goryl opowiadał mu, co słyszał z ust ojców. Otóż ustna tradycja małpia dowodzi, że ongi światem rządziły małpy, posiadające wysoką kulturę. Dopiero z czasem, skutkiem degenerowania, zostały wyparte przez człowieka, który był niższym od nich gatunkiem zwierząt. Ale koło szczęścia zaw-

sze się toczy — nadejdzie czas, kiedy ludzi z panowania światem wyprą nowe, wyższe istoty, a człowiek spadnie na stanowisko małpy. Te nowe istoty będą zamykały ludzi w menażeryach, będą ich wodziły na łańcuszkach i pokazywały jako śmieszną osobliwość. Dowiedział się również prof. Johnson, że i u małp był rodzaj wieży Babel, bo im się pomieszały języki i podzieliły na narody. Narody te staczają między sobą walki, mają swój handel wymienny, swoje szkoły, swoje armie, a nawet stronnictwa polityczne. Pomiedzy temi ostatnimi grają główne role: partya załatwiająca swe czynności lewą ręką i partya prawej odroczey. Stronnictwo „lewych“ jest słabsze, to też często „prawica“ daje mu się srodze we znaki. Obecnie prof. Johnson pisze gramatykę języka małpiego i zamierza założyć akademię dla szerzenia między ludźmi małpich „umiejętności...“

Naturalnie całe to opowiadanie jest żartem o-snntym na tle satyrycznem.

Nie żartem, ale bolesną prawdą jest, że magistrat krakowski uczynił zamach na „treny“ damskich sukien, zabraniając „ogonom“ zamiatać śmiecie z ulic i plantacyj i że pani Gabryela Reuter, głośna powieściopisarka niemiecka, stanęła w obro-nie... mężczyzn.

Pierwsza z tych niesprawiedliwości jest tak jasna, że nie potrzeba nad nią się zastanawiać — ale natomiast druga wymaga bliższego omówienia.

Pani Reuter napisała książkę pod tyt.: „Zagadnienia małżeństwa“. Pragnąc być bezstronną twierdzi, że obie strony walczące, to jest ta, która potępia dzisiejsze małżeństwo, jak i ta, która zachwyca się tą instytucją, wpadają w przesadę. Małżeństwo wymaga reformy, ale powolnej — potrzebnej ewolucyj a nie rewolucyj. Kwestya małżeńska dlatego wywołuje dziś tak głośne spory, ponieważ w ostatnich czasach pogłębiły się antagonizmy między kobietą i mężczyzną. Wobec nich niejednen mężczyzna nie ma ochoty iść do tego „piekła, jakim jest małżeństwo. Kobiety nie chcą zrozumieć, że przy obecnych warunkach małżeństwo nie daje tych wygod, tego „dobra“ dla mężczyzny, jakie dawniej przynosiło. Może on się bez niego „obejść“, bo kawalerstwo mniej kosztuje, bo walka o byt dla rodziny prowadzi często do kłeski. Wobec tego, że kobiety są dziś mniej, jako żony pożądane, dziwną i nierozsądną z ich strony rzeczą jest stawianie coraz większych wymagań. Cierpliwości mężczyzn nadużywają zwłaszcza te damy, które starają się o troskliwe przestrzeganie nienaruszalności swego „indywidualizmu“. Kobieta z małym talencikiem literackim lub artystycznym czuje się upoważnioną nadawać ton w małżeństwie — ona jest pierwszą w niej osobą, mąż powinien być szczęśliwy, że oddycha tem, co ona powietrzem, że spełnia jej rozkazy.

Co prawda, następują później uwagi dość nie-miłe dla mężczyzn, ale jako członek tej „korporacji“ wolę pominąć je milczeniem. Koniec końców autorka występuje silnie przeciw zasadzie „zupełnej wolności“ w małżeństwie. Chce poszanowania indywidualności z obu stron, ale także pragnie, aby ta indywidualność miała też i swoje granice.

Wszystko to jest bardzo ładnie, ale przyznacie Czytelniczki, że ożenienie się nazywać „pójściem do piekła“, jest to zbrodnia popełniona przez kobietę na kobietach. Wszak każda z was jest „majem, rajem i wiosną“.

Naturalnie nie taką wiosną jak obecna, bo jest to istna parodia wiosny. Ludziska chodzą w futrach, palą w piecach — telegramy donoszą o śniegach spadłych w Saksonii, na Śląsku pruskim. Gorąco jest tylko w Berlinie, ale nie wskutek temperatury, lecz z powodu wycieczki „wuja“ Edwarda do Kartageny i Gaëty. „Wuj“ ten ma dziwną przyjemność niepokojenia swego siostrzeńca. Mówią, że jestto wielki arachnolog (pajakarz), który siecią układów dyplomatycznych pragnie otoczyć „cesarza teatralnego“.

Nową tę nazwę wymyślił p. Henri de Roussane, który przed pół rokiem jako współpracownik „L'Echo de Paris“, bawił we Wielkopolsce dla zaznajomienia się ze strajkiem szkolnym dzieci polskich. Otóż ten pan de Roussane w dniu 16 kwietnia na meetingu zwołanym w Paryżu dla tej sprawy przez ligę patriotów francuskich („Ligue des patriotes français“) opowiadał o swojej podróży, nawołując przytem Francuzów do walki ekonomicznej z Niemcami, do nieumieszczania kapitałów francuskich na rynkach niemieckich, co musi wpłynąć na szybszy upadek „przeręklamowanego olbrzyma“, tego „mocarstwa-komedyi“ z cesarzem „teatralnym“ na czele. Po p. Roussane przema-

wiali: p. Hubert, przyjaciel i towarzysz wygnania Derouléda, prezesa Ligi; radca miejski p. Galli itd. Pan Hubert wypowiedział nadzieję, że Słowianie przyjdą do porozumienia i z Polakami na czele staną w pierwszym szeregu ludów wolnych, idących do walki z ludami prześladowanymi. W końcu 2.000 słuchaczy uchwaliło rezolucję, wyrażającą „dzielnemu narodowi prowincji poznańskiej swój zachwyt dla odważnej obrony, jaką przeciwstawia swemu ciemieniu“.

Rezolucya taka nie wiele nam, co prawda, pomoże, ale bądź co bądź nie nie szkodzi, że kilka tysięcy Francuzów choć w ten sposób otrzyma jakie takie pojęcie o tem, co się dzieje w „państwie miłości bożej i dobrych obyczajów“. Dobrze i to, że Francuzi choć trochę zajmują się kwestyą polską wogóle i dowiadują się o naszym istnieniu skądinąd, niż z paszkwilów p. Björnsterne-Björnsona.

Że taki pan nie zna naszej historii i plecie o niej niestworzone baśnie, to łatwiej zresztą wytłomaczyć (nie wybaczyć) wobec faktu, że najbliżsi nasi przyjaciele okazują równie dobrą znajomość wiedzy historycznej. Przed tygodniem słynny Puryszkiewicz rozwodził się w Dumie o rządach Wielopolskiego i Czartoryskiego(?) w r. 1863 i żyjącemu Jerzemu Milutynowi przypisywał owe słynne „reformy kraj uspakajające“, które przeprowadził zmarły przed laty Mikołaj Milutin. Lepszą jeszcze znajomość historii naszej wykazał inspektor szkół ludowych w Królestwie, który w okólniku do dyrektorów pozwolił wspominać uczniom o Kazimierzu Wielkim i Bolesławie... Jagielle.

Ponieważ „kronika tygodniowa“ powinna mówić o wszystkim, więc pozwolę sobie zakończyć ją trzema oderwanymi wiadomościami z dziedziny matematyki, literatury i dziennikarstwa.

A więc naprzód matematyka. Wysła niedawno ciekawa książka dra H. Schuberta pod tyt.: „Teorye matematyczne“. Są w niej ciekawe przykłady, do jak olbrzymich liczb można dojść w świetle najpowszechniejszych zjawisk. Czy przypuszczasz np. szanowny preferansisto, w ilu kombinacjach możesz rozdać 32 karty? Sądziś zapewne, że takich kombinacji jest zapewne 1000, a może 2000. Gdzie tam! obliczenie wykazuje, że takich kombinacji jest 2.753 biliony, 264.408 milionów 504.640. Gdyby więc — pisze dr. Schubert — cała ludność dniem i nocą grała w karty, to licząc na każdą kombinację pięć minut, trzeba by 52 — 53 lat, aby cała serya kombinacji preferansowych została wyczerpaną.

Z dziedziny literatury zawiadamiam, że się zanosi na wielką burzę. Hrabia Stanisław Tarnowski ogłosił w „Przeglądzie Polskim“ ustęp z ostatnich rozdziałów szóstego tomu swej historii literatury. Ustęp ten jest poświęcony dzisiejszym gwiazdom naszej poezyi. Blask tych gwiazd krytyk niesłychanie umniejsza. Charakterystyka np. twórczości Wyspiańskiego jest tak surowa, że wielbiciele poety długo nie będą mogli ochłonąć z przerażenia. A ochłonawszy rzucą się do papierowego oręza. Strach, jaka będzie kanonada.

Co do dziennikarstwa zaznaczyć muszę, że dziennikarstwo ruskie (rusińskie) zdobyło rekord w dostarczaniu interesujących wiadomości. W 16 n-rze „Swobody“, organu urzędowego „Narodnego komitetu“, znajdujemy w kronice wiadomość, że we wsi Towstenkie (pow. husiatyński) nauczyciel tamtejszy Mendefik „chodzi na noc do cudzych żon, np. do Julki Ornatowskiej i do Tekli Chichłowskiej“. Przyznacie chyba, że żadne dziennikarstwo na świecie nie otacza taką moralną opieką powierzanej sobie trzódki.

